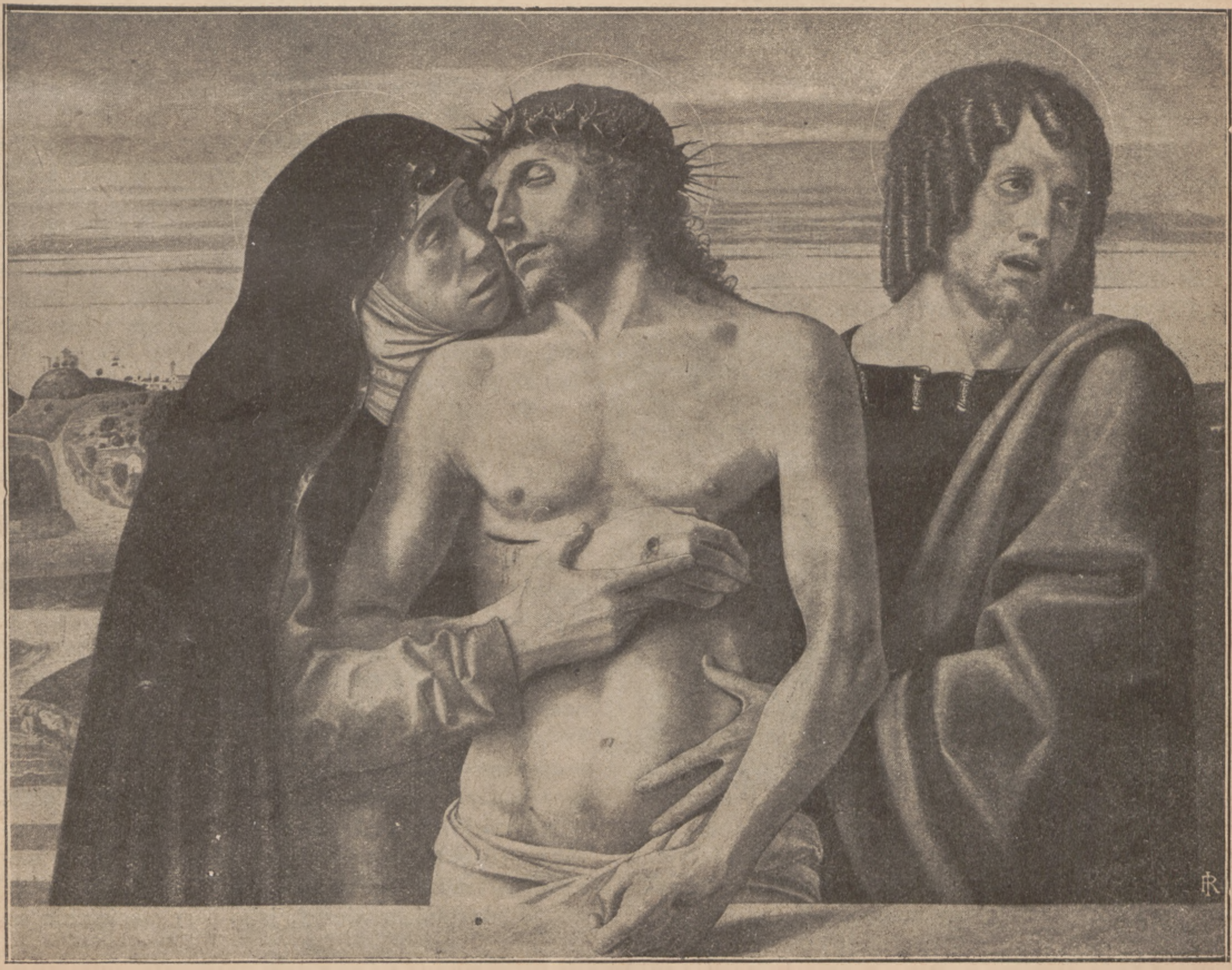
ROK 1. CENA 30 GR.

ŚWIAT DOM i SZKOŁA

No 8-9. Warszawa. TYGODNIK ILUSTROWANY. 24 marca 1929.
WYDAWCA: RADA SZKOLNA M. ST. WARSZAWY. RED. HELENA BOGUSZEWSKA



JĘDRZEJ CIERNIAK

WIELKANOC W POLSCE.

Wielkanoc jest u nas, obok Bożego Narodzenia, nietylko świętem najuroczyściej obchodzonem, ale równocześnie jest świętem, które bodaj najwięcej wchłonęło w siebie dawnych, jeszcze pogańskich praktyk i zwyczajów i stąd nabrało osobliwego kolorytu obrzędowego. Przejdźmy te tradycje osobliwości pokolei i zwróćmy uwagę na ich genezę, formę i właściwą treść.

Przedewszystkiem, Wielkanoc przypada na czas budzenia się życia w przyrodzie, na początek wiosny. Dla człowieka pierwotnego była to pora niesłychanie radosna: po zimowej martwocie nadchodziła zbawienna, życie niosąca wiosna. Wiązało się to przeświadczenie z kultem bóstwa, na cześć którego obchodzono jakieś święto wiosny. Chrześcijaństwo złączyło tę pierwotną tradycję z pamiątką zmartwychwstania Chrystusa, który wszak przez swoją mękę i śmierć dał także człowiekowi nowe życie, życie wieczne na tamtym świecie. A zatem główny sens tego wiosennego święta pozostał.

A teraz omówmy poszczególne zwyczaje wielkanocne.

W Niedzielę Białą albo Palmową, poprzedzającą Wielki Tydzień, jest w kościele *zwyczaj święcenia palm,* dzisiaj związany z pamiątką uroczystego wjazdu Chrystusa do Jerozolimy. Jest to, jednak, zwyczaj innego pochodzenia. Tą palmą do dziś dnia uderzają się wzajemnie ludzie, wracając z kościoła, przyczem mówią: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki dzień, bądź zdrowy jak lód, wesoły jak wiosna, bogaty jak ziemia...“ Palmy te mają różne zapobiegawcze własności. Połknięty jeden pączek wierzbowy zachowuje zdrowie, a nasz Mikołaj Rej pisze: „Kto pączka z palmy wielkanocnej nie połknął, ten już zbawienia nie otrzymał.“ Przy wypędzaniu bydła po raz pierwszy na paszę, także brano do ręki palmę dla odpędzenia zarazy. Tak samo przy pierwszej siejbie obok gromnicy miała zastosowanie i palma.

Również w Niedzielę Palmową odbywał się u nas *obchód koniarza.* Mianowicie chłopak, usmolony sadzami, przepasany powrósłem, z długim słomianym ogonem, przyczepionym w tyle do ubrania, jeździł sobie na koniku, wystruganym z laski, od chałupy do chałupy, stukał drewnianym młotkiem, poczem wygłaszał dłuższą wierszowaną przemowę, z której przytaczamy charakterystyczny wyjątek:

Wiedzie Pan Pana miłego
do miasteczka małego,
osiołek pod nim lichy,
Pan Jezus na nim cichy,
osiołkowi sianka,
Panu Jezusowi obwarzanka,
I o mnie nie zapominajcie,
na obwarzanki mi dajcie.
Drudzy na bochenek chleba,
bo wam to zapłaci
sam Pan Jezus z nieba.

Otrzymawszy datek, koniarz mówi:

Są bułki na mieście,
idźcie je przynieście,
są placki z twarogiem,
ostańcie tu z Bogiem.

Jak widzimy, zwyczaj powyższy odnosi się wyraźnie do wjazdu Pana Jezusa do Jerozolimy.

W Wielką Środę znowu, robią sobie swawolni chłopcy bałwana ze słomy i starych gałganów, kładą mu w zanadrze kawałki potłuczonego szkła niby owe 30 srebrników. Ma to być bowiem *Judasz,* którego następnie wynoszą na wieżę kościelną i zrzucają na dół, gdzie z kijami czekają inni chłopcy, ciągną potem kukłę po ulicy, okładając ją kijami i krzyczą: Judasz! Judasz! Jest to chyba reszta z dawnych widowisk pasyjnych.

W Wielki Czwartek przechowuje się zwyczaj *niszczenia żuru,* co oznacza koniec postu. Znowuż chłopcy chodzą z garnkiem pełnym żuru od domu do domu, smarują żurem drzwi, okna, stoły, by dziewczętom przyczynić roboty, poczem garnek tłuką. Bywają jeszcze inne zwyczaje niszczenia żuru, ale nie przedstawiają one głębszego znaczenia, więc je pominiemy.

Jeden z najciekawszych zwyczajów to *topienie bałwana.* Mianowicie robiono kukłę ze słomy, którą następnie w gromadnym pochodzie wynoszono ze wsi i topiono w stawie. Ów bałwan jest oczywiście wyobrażeniem zimy, czy wogóle śmierci. Charakterystyczne okazy tej kukły miałem sposobność widzieć w wiedeńskiem muzeum etnograficznem. Cały ten zwyczaj jest zainscenizowanem przedstawieniem momentu przesilenia zimy z wiosną.

Z powitaniem wiosny, jako pory wzmożenia się

w przyrodzie sił wegetacyjnych, mamy związane różne i chyba najciekawsze obrzędy i praktyki wielkanocne.

Oto gromada chłopców obchodzi domy *z kogutkiem albo kokotkiem.* Mianowicie na wózku o dwóch kółkach umieszczono sprytnie zmajstrowanego kogutka. Zwykle dokoła kogutka stoją różne figurki, jak żyd, żołnierz, młynarz, kowal i t. d. i to wszystko jest tak zrobione, że równocześnie z poruszaniem się wózka cały korowód lalek tańczy naokoło. Przy tym obchodzie chłopcy śpiewają, a muzyka przygrywa:

Lato idzie, zima schodzi,
oj nas kogutek boso chodzi.
A złózcie się po grosowi,
kupcie buciny kogutowi.

Gdy są w izbie dziewczęta, zwykle śpiewają następną strofkę:

A i wy, matusiu złózta po seść grosy,
Puścima koguta do wasej kokosy...

Nie miejsce tu, by szeroko wyprowadzić znaczenie tego obrzędu. Ogólnie tylko należy zaznaczyć, że kogut w pierwotnej intencji obrzędu był duchem wegetacji, jego wejście do chaty w czasie budzenia się wiosny miało dać żywotne siły wegetacji nietylko na roli, w oborze, ale i w chacie.

Specjalną formą powitania wiosny jest zwyczaj chodzenia dziewcząt *z gaikiem* (maikiem, nowem latem). Mianowicie dziewczęta przystrajają choinę wstążkami, papierami kolorowemi, na wierzchołku umieszczają strojną lalkę. Ma to wszystko wyobrażać wiosnę. Podchodząc do domu, śpiewają:

Nas gaicek z lasa idzie,
przyglądają mu się rozmaici ludzie.
A idzie on, idzie, po lipowym moście,
napotykają go panowie i goście.

Gaicek zielony
pięknie ustrojony,
po wsi sobie chodzi,
bo mu się tak godzi — i t. d.

Również głębsze znaczenie ma *święcone jajko.* Zwyczaj to u nas stary. Jajko jest symbolem tworzącego się życia, życia nowego, co wiąże się z porą budzącej się wiosny. Zatem zwyczaj dzielenia się jajkiem i składania sobie życzeń ma głębszy sens. Lud polski, jak zresztą i gdzieindziej, jajka wielkanocne zdobi, nazywając takie malowane jajka pisankami, kraszankami czy piskami. Owe ozdoby są bardzo nieraz ciekawe.

Najbardziej rozpowszechniony w Polsce jest t. zw. *śmigus albo dyngus,* polegający na wzajemnem oblewaniu się wodą w drugie święto wielkanocne. Często chłopcy chodzą po domach i śpiewają:

Przyśliśmy tu po dyngusie,
zaśpiewamy o Chrystusie,
w wielki czwartek, w wielki piątek
cierpiał Pan Bóg za nas smętek, i t. d.

W niektórych okolicach w Wielki Czwartek, gdy wzejdzie księżyc, młodzież po odśpiewaniu pieśni religijnych biegnie do rzeki, aby się umyć. Gdzieindziej znowu jest wielkopiątkowy zwyczaj wybiegania wprost z łóżka dla umycia się w rzece.

Mamy jeszcze wielkanocny zwyczaj *palenia ognisk.* Jest to chyba obrzęd oczyszczalny, taki sam, jak kąpiel, tylko że tu środkiem oczyszczającym jest inny żywioł. Pozatem ognie wielkanocne są jedną z resztek wiosennej uroczystości zaduszkowej. Na Polesiu dotąd zachowały się zaduszki wiosenne. Krakowska zabawa na kopcu Krakusa w trzecie święto wielkanocne, t. zw. „*Rękawka*", również ma związek z obrzędami zadusznemi. Tak samo święcone jest właściwie zastawą dla zmarłych członków rodziny.

Oto, jakie przeróżne mamy u nas zwyczaje, które, dziś zachowane w resztach, dawniej związane były z tą wielką przemianą w przyrodzie, gdy ustępuje zima, czas zamierania życia, a budzi się wiosna, z nowemi siłami urodzaju i plenności. Jest w tem wszystkiem głębszy sens, więc warto sobie o tem przy dzisiejszem wiosennem słoneczku podumać i o prawiekową tradycję naszych pradziadów serdeczną myślą zaczepić.



Czytelnikom naszym, prenumeratorom, przyjaciołom naszego pisma — i wszystkim tym, którzy tak ochotnie odezwali się na nasze pierwsze słowa, przysyłając listy, uwagi, artykuły — ślemy serdeczne życzenia: żeby w dniu Radosnego Święta i nadchodzącej wiosny zelżały wszystkie troski długiej, złej zimy! Żeby rozpłynęły się w słońcu i pogodzie, jak śniegi na wiosennych polach! Tej właśnie słonecznej pogody najbardziej życzymy...



H. BOGUSZEWSKA.

EMAUS W KRAKOWIE.

„Dwaj młodzieńcy, idąc do miasteczka Emaus"... spotkali w drodze Chrystusa. Było to nazajutrz po Zmartwychwstaniu. Więc tak: Emaus jest nazwą miasteczka w Palestynie. A oto co zrobili z tego „Emaus" w Krakowie. Właściwie co robią w każde drugie święto—dzień zazwyczaj prześliczny, cały przykryty niebem wysokiem, ciemnem i wilgotnem, i pełen wiosennych obietnic.

Nie wiem kiedy oni to robią — chyba w nocy — bo poprzedniego dnia niema jeszcze nic, a rano w ten dzień już jest wszystko.

Wszystko to znaczy: kramy, żebracy, piszące kogutki — ścisk, zgiełk — i odpust.

Zaczyna się to już na starym Zwierzyńcu—a pnie się aż na wzgórze Salwatora, do małego ślicznego kościoła Zbawiciela.

Kramy ciągną się dwoma rzędami. Jeden przy drugim. A w nich jest wszystko, co zwykle bywa w kramach odpustowych — i jeszcze to, co bywa tylko w Krakowie i tylko na Emaus.

Więc: papierowe kolorowe piłeczki, skaczące na gumkach. Maleńkie żydy na drewnianych podstawkach, z kołnierzami i czapami ze skrawków prawdziwego futra. Djabły. Skaczące na gumkach małpki. Rzeczy krakowskie, kolorowe, radosne, biorące w siebie oczy. Trąby papierowe, zrazu zwinięte skromnie; gdy się w nie dmucha, rozwijają się na całą długość nagle, a niespodziewanie i kilku piórkami, umieszczonemi na końcu, uderzają w nos rozmówcy. Gliniane kogutki. Malowane skrzypeczki, z któremi nie wiadomo, co potem robić. Rzeczy odpustowe, które się kupuje chciwie, bez pamięci, bez miary, a które się

w domu „okazują być“ niepotrzebnemi gratami, przekładanemi z biurka na stół i wcale nieozdobnemi. Ach, bo nie tam jest ich miejsce! Ich miejsce jest na odpuście, w tłoku, w zgiełku, w święcie! Tam królestwo kogutków, trąb, dzwoneczków, grzechotek! — Tam są radością oczu i uszu!

Żebracy. Żebracy szanowni, zawodowi, rutynowani. Zawodzą, żebrzą, dzwonią, kołacą i zbierają grosze w gliniane miseczki.

Im bliżej kościoła, tem tłok rośnie. Od mostu na Rudawie, u stóp klasztoru Norbertanek, kramy co najpiękniejsze, żebracy rozsiedli się co najgodniejsi na rezerwowanych z roku na rok miejscach. Kaleki pierwszorzędne, odpustowe, przybyłe zdaleka, z całej Polski.

Przy samym kościele nie można się wcale przecisnąć. Odpust.

O wiosennym przejrzystym zmierzchu, zaczyna to święto wygasać. Cichną dzwoneczki, trąby, grzechotki, zwijają się kramy, podziewają się gdzieś kaleki. Aż gdy wdole zapala się wszystkiemi latarniami Kraków, na Salwatorze odpust rozpłynął się w mroku, wsiąkł w wiosenną noc...

...Do następnej Wielkiejnocy...

H. BOGUSZEWSKA

ŚWIĘTA MAŁEJ CÒRECZKI.

Dziewczynki powoli wracały do domu. Na wielkim placu przed kościołem przystanęły około żelaznego ogrodzenia skweru, i patrzały, jak z wilgotnej, świeżo poruszonej i uprawionej ziemi, rozbitej na równiusieńkie, prawie jednakowe grudki, sterczały przycięte, nagie pręty jakichś krzewów o korze szarozielonej, jakby pełnej życia. Powietrze było chłodne, ale już chwilami pachniało wiosną. Zadął ostry wiatr i zrobiło się zimno.

Poszły dalej i znowu zatrzymały się przed wystawą sklepu. Na sznurku, zawieszonym wpoprzek okna, wisiały wielkanocne jajka z czekolady i jakieś inne, różnokolorowe. Zaczęły „wybierać sobie“ najładniejsze.

— Ja wybieram to różowe ze złotem.

— A ja czekoladowe z zajączkiem.

— Czekoladowe zjesz i nic nie będzie, a moje różowe zostanie.

— Właśnie, że nie zjem.

— Zjesz. Sama wiesz, że zjesz napewno!

Zastanowiła się młodsza siostra. Zawahała.

— To ja mogę wybrać jedno czekoladowe do zjedzenia, a jedno takie, żeby było na zawsze.

Starsza poczuła się nagle, jak dorosła.

— Możesz wybrać i dziesięć, bo i tak nic z tego nie będzie!

— To też ja tylko tak na niby...

Mijały teraz opuszczony placyk z zaczętą jakąś budową, ogrodzony parkanem z desek. W rogu parkanu przy kupie gruzu wychodziły z ziemi czerwonawe jakieś kiełki. Zaczęły się już rozwijać czerwonozielone, maleńkie listeczki. Dziewczynki przystanęły.

— Jak się liście rozwiną, to będziemy grały w zielone.

— Ale tylko wtedy będzie się liczyło, kiedy listek będziesz miała w ręku, albo w kieszeni, a jeżeli na stole, to na nic!

Przy wielkiej kamienicy, obsadzonej dzikiem winem, słuchały, jak świergocą wróble. Nawet nie było ich tak bardzo widać w poplątanych, nagich, węzłowatych, łodygach — i było — tak, jakby świergotało, śpiewało, ćwierkało, całe to wiosenne, chłodne powietrze!

— Jak myślisz, czy ich tam jest dziesięć tych wróbli? — rozważała młodsza.

— Co, dziesięć! Ich jest conajmniej, conajmniej..

Zawahała się starsza, co powiedzieć: pięćdziesiąt, czy tysiąc?

Ale mała już patrzała w inną stronę.

— Patrz, patrz! Widłaki niesie!

Człowiek z koszem pełnym mchu i sośniny powiewał ku nim wiązką widłaków. Frunęły w powietrzu, jak jasno-zielone sznurki, zapachniały świeżością, chłodem i lasem.

— Kupmy! — prosiła mała.

Ale starsza siostra już pociągnęła ją dalej.

— Poco? mama nic nie mówiła. Przecież to do ubrania stołu na święcone.

Zamilkły obie.

Zapadał przejrzysty wiosenny zmierzch. Gdy wchodziły do czarnej bramy, zapalono latarnie.

W domu — jak zwykle. Matka coś szyła, łatała, potem poprawiała kajety czerwonym ołówkiem. Duży brat niby to się uczył, ale ciągle tłumaczył matce,



że choćby nawet miał dwie dwójki na okres, to i tak nic.

— Bo ta z polskiego, to tylko za to ćwiczenie — wie mama?

— A ta z geometrji, to znowu, że tego kajetu nie było, i on tak się o to rozzłościł, wie mama?

Ojciec wrócił ze swoich wiecznych komisyj, czy sesyj, mówił do matki, że stosunki są nie do zniesienia, że coraz ciężej, że trudno wytrzymać.

Wieczór upływał i nikomu nie było nic do tego, że czerwone kiełki wychodzą z ziemi pod parkanem, a człowiek z koszem pełnym zieleni ciągle jeszcze roznosi całe pęki widłaków.

Rodzice rozmawiali ze sobą, coś rozważali, a dzieci nie słuchały, bo myślały, że rozmawiają zwyczajnie.

Aż duży brat zmiarkował, że wcale nie rozmawiają zwyczajnie, tylko o tem, czyby się nie dało pojechać na święta na wieś do wujostwa mamy. Tylko trzeba zaraz do nich napisać.

Duży brat znieruchomiał i trącił siostrę.

— Tak dawno nie byłam na wsi na wiosnę — mówiła matka powoli, patrząc w czarne okno.

I odrazu zrobiło się tak, że i czerwone kiełki, i widłaki, i wiosenne świergoty wróbli stały się ważne i bliskie.

— Zaraz jutro wyślij list. Chyba to się da zrobić, jeśli tam się nic nie zmieniło.

Przy stole, okrytym ceratą, zawrzało jak w ulu.

— To tam, gdzie mama zawsze jeździła, jak nas jeszcze nie było na świecie, prawda mamo?

— Najpierw koleją, a potem końmi, prawda mamo?

— Na stacji będą czekały konie, prawda mamo?

— Będzie czekał drabiniasty wóz?

— Dlaczego drabiniasty wóz? Mama słyszy, co on mówi, mamo!

— Bo ja wolę wozem!

— A ja wolę bryczką. Bo bryczką jest lepiej, prawda mamo?

— Mamo, mamo, czy będziemy jechali w nocy?

— Najlepiej niech mama wszystko opowie, jak tam jest!

Więc matka zaczęła opowiadać. że wyjadą stąd w południe, a tam staną jakoś przed wieczorem. Na malutkiej stacyjce. I zaraz, jak wysiądą z wagonu, zobaczą żółtą, starą bryczkę. Szeroką, parokonną.

— A jakie będą te konie, mamo?

— A czy będzie klacz ze źrebakiem?

— A czy będzie źrebak miał dzwonek?

— Bójcie się Boga. Nie byłam tam... zaraz, czekajcie! Ze czternaście lat chyba, a wy mnie pytacie, czy źrebak ma dzwonek!

I opowiadała dalej, jak wsiądą na tę brykę i pojadą drogą wśród pól świeżo zoranych, pachnących ziemią, a skowronki będą tak śpiewały, tak śpiewały... choć żadnego nie będzie można dojrzeć...

— To tak, jak tych wróbli — szepnęła młodsza siostra do starszej.

A potem droga pójdzie przez lasek brzozowy i będą pachniały młodziutkie listki, które się tego dnia rozwinęły na ich przyjęcie. A potem na lewo od drogi będzie zielone pastwisko i wąziutka struga, taka wązka, że tylko po szeregu olch można ją poznać zdaleka. Ale olchy będą jeszcze czarne, bez liści.

A tymczasem słońce już będzie nisko nad lasem. Las ciągnie się za tem pastwiskiem, za tem błoniem, daleko i wydaje się całkiem siny.

A potem będzie łysy, piaszczysty pagórek. W lecie tam rośnie macierzanka — i pachnie w słońcu. Ale na samym wierzchołku nic nie rośnie, i można znaleźć w piasku malutkie muszelki, przejrzyste, różowawe...

— Uzbieram całe pudełko — postanowiła starsza dziewczynka.

— Ja też uzbieram całe pudełko — powtórzyła młodsza.

A potem będzie taka mała wieś.

Ale zanim dojadą do wsi, to już się ściemni i pozapalają światła w oknach.

A za wsią trochę zboku stoi dworek wujostwa. Psy będą szczekały, a babcia wyjdzie na ganek i powie: jesteście? A ja już się niepokoiłam, że coś się złego w drodze stało! — ale o tem to już matka opowie jutro wieczorem, bo teraz jest późno i trzeba iść spać.

Jednak musiała opowiadać długo w noc, bo naj-







młodsza dziewczynka nie mogła usnąć, wyglądała jakoś dziwnie i błagała, żeby opowiedzieć, co będzie rano, kiedy się obudzą.

Więc mówiła matka szeptem, żeby nie obudzić reszty, że rano, jak się obudzą, jak zobaczą bielone ściany i słońce w szparach okiennic i posłyszą, że gdzieś daleko w podwórzu kwacze kura i szczeka pies, to nie będą mogli zrozumieć, gdzie są. A potem, jak sobie wszystko przypomną, to tak się ucieszą! I zaraz otworzą okiennice i okna, i cały niski, biały pokój napełni się takim blaskiem, taką pogodą, że choćby tam kto nie wiem jak lubił wylegiwać się w łóżku — to zaraz wstanie. A po śniadaniu pójdą wszyscy do lasu, wąską ścieżką przez pola. Słońce będzie prażyło, jak w lecie i ani jednej chmurki na niebie. Skowronki...

Gdy wejdą w las — wszystko się zmieni. Obejmie ich wilgotny, pachnący chłód i z początku będzie się zdawało, że tu jest mniej wiosny, niż na polu. Bo tyle zeschłych liści, a nowych jeszcze prawie nie widać. Ale na małej okrągłej polance, zalanej słońcem, nie kto inny, tylko ona, najmłodsza córka, znajdzie pierwszą błękitną przylaszczkę i zawoła: „zgadnijcie, co ja mam"! I wszyscy się bardzo zdziwią! A potem okaże się, że przy zwalonej kłodzie rozkwitło dużo, dużo przylaszczek i wszyscy zaczną je rwać.

— Ale zawsze będzie się liczyło, że ja znalazłam pierwsza?

— No tak, naturalnie. A potem będziemy rwali widłaki i zobaczymy, czyj najdłuższy?

— A jeżeli mój będzie najdłuższy?

— To opaszesz się nim tak wpół i przez ramię, a potem dasz babci do ubrania stołu.

— To ten człowiek sprzedawał widłaki i ja chciałam kupić.

Mała córka zamknęła oczy i zaczęła drzemać.

Ale nazajutrz i następnych dni i przez cały czas jej choroby, matka musiała jej opowiadać o tym wyjeździe na święta, choć tamci już dawno pojechali z ojcem.

Więc opowiadała, jak po obiedzie wszyscy zasiądą na ganku i będą rysować woskiem na jajkach różne desenie. A potem ugotują jajka w czarnej farbie, i jeszcze w żółtej, i jeszcze w czerwonej — i zrobią się śliczne pisanki.

— I ja zabiorę moją do Warszawy i będę ją miała na zawsze! Nie chcę jajka różowego ze złotem, bo pisanka ładniejsza, prawda mamo?

— Daleko ładniejsza — i matka opowiadała dalej, jak na trawniku pod oknami jadalni mała córeczka znajdzie pierwszy, rozkwitły fijołek.

— Będzie miał krótki ogonek i nie będzie mógł stać prosto nawet w najmniejszym dzbanuszku na kwiaty. Taki będzie malutki i jeszcze nie całkiem rozwinięty, ten pierwszy fijołek! Ale będzie cudownie pachniał.

— Więc co z nim zrobimy, mamo?

— Wiesz co? W salonie, tam gdzie prawie nikt nie siedzi, i jest zawsze trochę zimno, i wszystkie meble są w pokrowcach, stoi na kominku porcelanowa, malutka kwiaciarka z koszyczkiem takim małym, mniejszym, niż naparstek. Poprosimy babci, żeby pozwoliła tę kwiaciarkę postawić na stole w jadalnym, nalejesz wody do koszyczka i włożysz fijołek, tam będzie mu dobrze.

— To doskonale, mamo! A co z tą kurą?

— Z jaką kurą?

— A z tą, co kwakała zaraz rano, jakeśmy się obudzili.

— Ach, z tą! Dobrze, żeś mi o niej przypomniała. To jest taka kwoka popielata i tylko na skrzydłach ma odrobinę białego. Wysiedziała kurczątka. Babcia trzyma je w garnku pełnem pierza, przy piecu, bo są jeszcze bardzo małe. Wyjmuje je z garnka i stawia na deszczułce, i sypie im posiekane, twarde żółtko. Kurczątka uczą się jeść. A to najmłodsze jeszcze nie potrafi, kiwa się na nóżkach i uderza dziobkiem o deseczkę.

— Babcia da mi je do ręki?

— Napewno da. Tylko nie na długo.

— A mama lubiła kurczątka, jak była mała?

— Czy lubiła? Naturalnie — lubiła bardzo i kurczątka, i kaczątka, i kociątka. Ale najwięcej bronzowego wyżła, który miał jedno oko żółte, a drugie niebieskie i sam z siebie, bez nakazu, przynosił wujowi pantofle. A w kąciku za owczarnią matka urządziła

sobie domek i kuchnię z serwisem z potłuczonej salaterki w niebieskie kwiatki. I jeszcze w jednem miejscu tuż za ogrodem, który się nazywa „Stary folwark“ — zawsze robiła sobie wiosną ogródek. Bo tam była kupa kamieni i żwiru z dawno spalonego domu i jedna jedyna wierzba, która miała bazie tak pachnące, jak żadna... I jeszcze stokrotki...

Gdy powrócili brat i siostra z ojcem i po tem można było napewno poznać, że święta już minęły, najmłodsza dziewczynka spytała spokojnie.

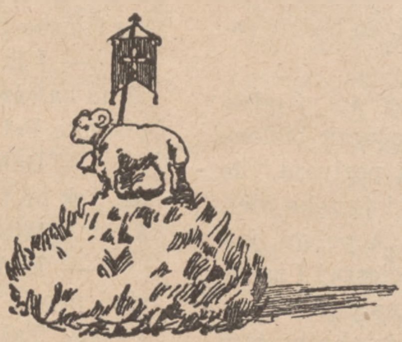
Czy na kominku w salonie stoi ta malutka kwiaciarka z koszyczkiem? A kurczątka czy już umieją dobrze jeść posiekane żółtko? Chodziliście na „Stary folwark“ po baźki? Na trawniku pod oknami jadalnego czy kwitną fijołki?

Odpowiadali i dziwili się, skąd ona wszystko wie, jakby tam była z nimi.

— Wiem nawet lepiej od was, bo wyście tam byli tylko raz, a ja, a ja...

Nie wiedziała, jak powiedzieć i tylko spojrzała na matkę. Wszyscy się śmieli, tylko matka się nie śmiała i kiwnęła głową w odpowiedzi małej córce.







WANDA WRÓBLEWSKA

WSPÓŁPRACA RODZICÓW ZE SZKOŁĄ.

Rodzice, posyłający dzieci do szkół, winni współpracować z nauczycielstwem nad wychowaniem młodego pokolenia.

Nie dość zapisać dziecko w oznaczonym terminie do szkoły, dać mu pieniądze na zakup książek, zeszytów i t. p., posyłać regularnie na zajęcia lekcyjne; trzeba przedewszystkiem baczyć, jakie jest zachowanie dziecka, jak ono pracuje.

Należy obserwować dziecko, czy z chęcią chodzi do szkoły, czy ma zapał do nauki, czy jest obojętne, czy szkoły nie lubi. Co jest powodem tej niechęci do szkoły, czy wrodzone lenistwo, czy niesprzyjająca duszy dziecięcej atmosfera danej szkoły; należy dziecko serdecznie wypytać, a potem przyjść do wychowawcy klasy, czy kierownika szkoły i omówić z nim sprawę, poradzić się, wyjaśnić. Jeżeli dziecko w domu jest harde, krnąbrne, nie zna szacunku dla domu, a szkoła o tem będzie wiedziała, to nauczyciel czy kierownik zwrócą specjalną uwagę na takie dziecko i tak z niem będą postępować, żeby wzbudzić należne uszanowanie i posłuch dla rodziców.

Trzeba jednak pamiętać, że w domu dziecko musi odczuć ciepło rodzinne, że ono nie może patrzeć na gorszące sceny pijaństwa, różne awantury, słuchać przekleństw i obelg, bo w duszy takiego dziecka zatraca się poczucie własnej godności, zanika uczucie i przywiązanie do domu.

Łagodne, delikatne obchodzenie się w szkole z takiem „zahukanem“ dzieckiem jest wielce utrudnione. Nauczyciel nie klnie, nie przezywa dziecka, nawet z najgorzej zachowującem się obchodzi się grzecznie, chociaż stanowczo. Perswazją, zawstydzaniem — trafia się do ambicji, gdy to zawodzi nauczyciela, stanowczością zakazu poskramia wybryki i uczeń go słucha.

Niech i rodzice tak samo współpracują ze szkołą. Co powiedzą w formie stanowczej, niech spełnią. Nie pogróżki, nie obiecanki, nie bicie, nie przekleństwa, lecz stanowczość decyzji winny kierować ich postępowaniem.

Owa stanowczość w domu, stanowczość w szkole wzbudzi posłuch u dziecka na zarządzenia rodziców czy szkoły. Gdy szkoła wezwie ojca czy matkę, nie wolno tego lekceważyć, lecz należy przyjść dowiedzieć

się, co zaszło. Nie można przez dziecko dać odpowiedzi, że niema się czasu przyjść do szkoły, gdyż wówczas dziecko zdaje sobie doskonale sprawę z obojętności rodziców do szkoły i samo nie będzie spełniało zarządzeń szkolnych; praca z takiem dzieckiem jest wielce utrudniona.

Nic bardziej nie ułatwia i nie sprzyja chęci pracy ucznia, jak ścisła łączność domu ze szkołą i szkoły z domem. Dzieci, o które rodzice dbają, dowiadują się, stanowczo lepiej się uczą i lepiej zachowują.

Szkoła rozumie, że gdzie matka pracuje dzień cały, nie może w ciągu tygodnia przyjść dowiedzieć się, ale niechże w niedzielę rano, kiedy dziecko idzie do szkoły, by wyruszyć do kościoła, dowie się u dyżurnych nauczycieli o synu lub córce. W roku odbywają się 4 razy zebrania rodziców i szkoła je zwołuje wieczorem lub w niedzielę rano, ażeby udostępnić przyjście do szkoły. Niestety! Są i tacy z pośród rodziców, którzy cały rok nie dowiedzą się o dziecko, nie zatroszczą się o jego naukę.

Wielką krzywdę wyrządzają oni dziecku, brnie ono w lenistwie, nie przejmuje się niczem, wiedząc, jak obojętnym jest dom w stosunku do szkoły. Z tych to zaniedbanych przez rodziców dzieci powiększają się szeregi nieuków, które dochodzą do 14 lat, nie kończą nauk, a szkoła w myśl litery prawa musi je usunąć, aby zrobić miejsce dla nowych roczników.

Dziecko 14 letnie, usunięte ze szkoły, jeśli nie zapisze się na kursy dokształcające, wykoleja się i wyrasta znów na nędznego bez zawodu i fachu wyrobnika, którego całą radością i przyjemnością staje się wódka i papieros.

Gdyby to dziecko miało opiekę domu, gdyby współpracowano ze szkołą, lepiejby się uczyło i wyrosło na dzielnego pracownika kraju, który przez naukę i oświatę, ulżyłby doli biednych rodziców, a sobie lżejszą pracę przygotował.

Wspólny cel łączy dom i szkołę: wychować, wykształcić dziecko na prawego, dzielnego i pracowitego obywatela, „aby jemu było dobrze i z nim dobrze".

Chcąc cel ten osiągnąć, musimy razem nad wychowaniem pracować, wspólnie omawiać dobre i złe cechy charakteru, czy uczucia dziecka, wspólnie iść wspólną metodą umiejętnym sposobem postępowania.

Cóż bowiem szkoła może zrobić, jeśli po 5 godzinach pobytu w szkole, dziecko wraca do domu, gdzie gorszące sceny wypychają je na ulicę w równieź złą atmosferę, albo gdzie słyszy w domu pod adresem szkoły, nauczyciela, czy kierownika wyzwiska, przekleństwa i „mądrzenia" się o „głupiej" szkole.

Z jakiem uczuciem przychodzi takie dziecko do szkoły, jak ono usposobione jest do nauczyciela, czy będzie słuchało zarządzeń szkolnych, czy z chęcią będzie się uczyło? Nie.

Mogą być błędy w szkole, wszak tam uczą tylko ludzie, którzy są omylni i mogą być nieraz też winni w stosunku do dziecka, ale wówczas trzeba przyjść do tej szkoły i porozmawiać szczerze, poufnie, podzielić się swemi uwagami, życzeniami, a szkoła przyjmie to z całą serdecznością, podziękowaniem i będzie się starała usunąć to, co błędne, co mylne.

Taka życzliwa uwaga rodziców dobro szkole przyniesie.

Tak pojęta współpraca zbliży ojca, matkę z nauczycielem i przyniesie wspólne dobro: wychowanie dziecka na dobrego syna, rzetelnego człowieka i obywatela.

IG. SMOSARSKI (Opiekun główny)

JAK ZORGANIZOWALIŚMY OPIEKĘ SZKOLNĄ.

Rok szkolny 1924/25. Rok ten pozwolił już cokolwiek rozwinąć ramy działalności Opieki; wprowadzenie złotego polskiego i chętniejsze wpłacanie składek przez rodziców przyczyniło się do zwiększenia siły nabywczej Opieki. Składka wynosiła Zł. 1.00 od dziecka. Rok szkolny zamknięty został kwotą 2446,49 złotych, na którą złożyły się następujące pozycje:

pozostałość z r. 1923/24 149.642.000 mkp.=	83.19 zł.
składki od rodzin	2.104.00 zł.
częściowa opłata za kolonje letnie	195.00 zł.
różne	64.30 zł.
Razem	2.446.49 zł.

Wydatki zaś:

pomoc dzieciom	1.520.91 zł.
pomoc szkole	583.02 zł.
Razem	2.103.93 zł.
pozostałość	342.56 zł.

Większe kwoty wydatkowano: dopłata za kolonje letnie Zł. 525.00; zasiłek na wycieczkę oddz. VII do Krakowa, Zakopanego i Wieliczki Zł. 243 gr. 91; na dożywianie dzieci Zł. 119 gr. 96, na powiększenie bibljoteki uczniowskiej Zł. 157 gr. 58.

Należy zaznaczyć, że wprowadzone w drodze pró

by dożywianie dzieci, po upływie 2-ch miesięcy musiało być zaniechane; nieregularna dostawa mleka, często po skończonych lekcjach, brak kuchni celem ogrzania mleka dnia następnego, zmusiły Szkołę i Opiekę do zaniechania nadal kontynuowania dożywiania.

Rok szkolny 1925/26 przy usilnych staraniach zamknięto kwotą 2292,25 złotych, na którą złożyły się następujące pozycje:

pozostałość z r. 1924/25	343.56 zł.
składki rodziców	1.599.30 zł.
koncert	59.19 zł.
dopłata rodziców na kolonje letnie .	275.00 zł.
różne	16.20 zł.
Razem	2.292.25 zł.
wydatki	2.109.07 zł.
pozostałość	183.18 zł.

Ważniejszemi wydatkami były: dopłata na kolonje letnie Zł. 770 gr. 00; na bibljotekę uczniowską Zł. 266,80; na pomoc higjeniczną Zł. 122 gr. 75; na inwentarz Zł. 151 gr. 11.

Na kolonje letnie wysłano dzieci 10, jedna dziewczynka przez 3 miesiące otrzymywała szklankę mleka i bułkę; 2 dziewczynki, zagrożone chorobą piersiową, wysłane zostały do Sanatorjum Szkoły w Skolimowie.

SYDOR REY

Czarne litery.

Uczymy. Oświecamy przyszłych obywateli. Formujemy jednostki cywilizowanego środowiska.

Piękne, pożyteczne dobrodziejstwo!

Oglądnijmy odwrotną stronę tej czynności!

Ile krzywd wyrządzamy tym małym ludziom, ile szczęśliwych chwil im kradniemy, ile radosnych oczekiwań zabijamy — podczas tej wzniosłej misji!

Mówimy:

— Dla twego dobra.

Niepewne.

Jeżeli niepewne, to ostrożnie.

Zagrzewać, namawiać, nakłaniać, nawet łudzić.

A zmuszać? Czy wolno zmuszać?

Niewolno i wolno.

Niewolno — (gdy nawet wszystko inne zawiedzie) — jeżeli dziecko — to już człowiek.

Wolno — (gdy wszystko inne zawiedzie) — jeżeli dziecko — to przyszły człowiek.

W tym wypadku pogódźmy się z drugim stanem rzeczy...

Zmusiliśmy. Co dalej?

Usuwać przeszkody, spotykane przez dziecko w drodze do rozwiązania zagadki abecadłowej. Przeszkód pełno.

Podpatrywać, obserwować — zastanawiać się, szukać przyczyn.

Nieustannie! Można nieraz zauważyć, jak dziecko, które przed chwilą coś przeczytało dobrze, przeczyta po chwili to samo — źle.

Dlaczego?

Zwykle zbywamy krótką odpowiedzią:

— Bo nie uważa! „Na tem koniec?"

To za mało! Nic! To nie ostateczne odkrycie!

Grzebać dalej: *Dlaczego nie uważa?*

Jeżeli to nie da rezultatu, to dalej, dalej — aż do przyczyny.

Dziecko to nie maszyna czytająca. To człowiek o mnóstwie niespodzianek duchowych. — Oto dobrze czyta, po chwili źle; później znów bardzo dobrze, po chwili znów bardzo źle. Cały szereg spadów i wzniesień.

Są przyczyny: tysiące podniet wzrokowych i słuchowych, które silniej działają, niż czarne kreski i haczyki.

Oto przykład: Lekcja. Mój siedmioletni uczeń czyta. Płynnie. Skończył. Każą mu to samo jeszcze raz powtórzyć.

Przekręca słowa, niedokańcza, przepuszcza.

Dlaczego?

Widzę. Na stole stoi szklana cukierniczka. W cukierniczce odbiło się okno i drzewo z podwórka. On dostrzegł.

Uwaga jego skupiła się około obrazu. Zjawisko piękniejsze niż litery. Nic dziwnego! Dziecko — (mowa o dziecku normalnem) — to nie czytająca maszyna, to człowiek wrażliwy na wszelkie zjawiska zewnętrzne. O tem zapominamy. A trzeba pamiętać i w miarę możności ustosunkować się.

Może czarne cienkie litery są zbyt słabę?

Może rozszerzyć, ożywić, urozmaicić, równoważyć ze światem codziennych zjawisk skupiających uwagę dziecka?

S. KISIELEWSKA

PRÓŻNOŚĆ.

(Myśli i obserwacje).

Historja jakich dzisiaj wiele: przed kilku laty się pobrali i już się rozwodzą.

On technik, ona prosta dziewczyna. Powodziło im się dobrze. Zbudowali sobie pod miastem niezgorszy domek z „luksusowemi“ urządzeniami technicznemi, mają trzech zdrowych, miłych chłopaków... a jednak się rozwodzą.

Łatwiej, bowiem, nawet w dzisiejszych trudnych czasach zbudować sobie dom z drzewa lub cegły, niźli stworzyć „dom“ wewnętrzny, stworzyć rodzinę w głębszem tego słowa znaczeniu. Wiele hamulców trzeba nakładać swojemu egoizmowi na rzecz drugiego człowieka i małych człowieczków, a po wojnie wzmógł się pęd do życia łekkiego.

Więc się rozeszli.

Ale co dziwniejsze, matka odrazu zapragnęła pozbyć się dzieci i oddała je mężowi, zaś mąż przeniósł się z niemi do Warszawy do swojej matki.

Zachodzę do schludnego pokoiku w suterynie, którego właścicielka trudni się posługą domową i już na schodach słyszę gwar i szczebiot kilku dziecięcych głosików. Wchodzę i zastaję zatroskaną kobiecinę, otoczoną trojgiem przemiłych wnuków w wieku od 5 do 3 lat. W maleńkim pokoiku na samym środku rozparł się żelazny piecyk z wielką rurą.

— Bo by mi proszę pani pomarzły, jak te karaluchy.

Naokoło piecyka jest akurat tyle miejsca, że dzieci, ustawiwszy się gęsiego, mogą poruszać się w kółko, a i to zawadza im dziecięcy stoliczek z trzema stołeczkami.

Dzieci czekają na obiad.

— O, o jaki okręt płynie na morzu — woła starszy chłopczyk, wskazując palcem na kawałek słoniny, pływający po patelni.

Moje przyjście jest wydarzeniem. Dzieci odrazu nabierają do mnie zaufania i opowiadają mi najrozmaitsze rzeczy.

— A ja śpię z babcią — z triumfem oświadcza trzylatek.

— A my mamy trzy po... po... — nie może się wyjęzyczyć czterolatek, mając prawdopodobnie na myśli opuszczone podmiejskie mieszkanie.

— Pociągi — przerywa mu starszy.

— O, mam papierek! — rzuca się nagle na jakiś kawałek gazety. Obaj młodsi rzucają się, aby mu tę nadzwyczajną zdobycz odebrać.

Robi się pisk i harmider niewypowiedziany, aż biedna babka chwyta się za głowę.

— Czy dzieci dawno są w Warszawie? — pytam.

— Aż z przede święty, siedzą tu ze mną, jak koguty w kojcu.

— Na spacer przecież wychodzą?

— Nie mamy jeszcze botów — odzywa się rezolutnie najstarszy kawaler.

— No przecież boty dla dzieci nie są takie drogie, a syn tyle zarabia...

— Moja pani, ani paltotów nie mają, ani czapek, ani nic, trzebaby zaraz 400 złotych wydać na to wszystko, a skąd wziąć? Syn ma teraz wydatki na adwokata i jej daje...

— A w czemże dzieci przyjechały do Warszawy, musiały przecież coś mieć na sobie, już wtedy była zima.

— No mieć, to miały, ale to wszystko stare, wyrośnięte. Syn nie pozwoliłby tak ich wyprowadzać, mają zaproszenia do krewnych, do znajomych.

— Więc niechże chociaż po podwórzu pobiegają.

— O syn się na to nie zgodzi, do czego to podobne.

— Więc jakto, dla waszej próżności, trzymacie dzieci w ciasnocie i zaduchu, przecież wam pomarnieją, rozchorują się.

— I prawda, że już pobladły, takie były rumiane, ale syn....

I bardzo długo musiałam tłumaczyć tej dobrej, poczciwej kobiecie, że mała izdebka zastawiona gratami i piecykiem to straszne więzienie dla tych maleńkich, rwących się do światła istotek i ich prężących się do ruchu mięśni; że przecież my dorośli, oszalelibyśmy zamknięci przez tyle tygodni w tych czterech ścianach bez ruchu, powietrza i wrażeń. Co nas obchodzi co powiedzą głupi ludzie, czy dlatego mamy tak męczyć bezbronne dzieci?

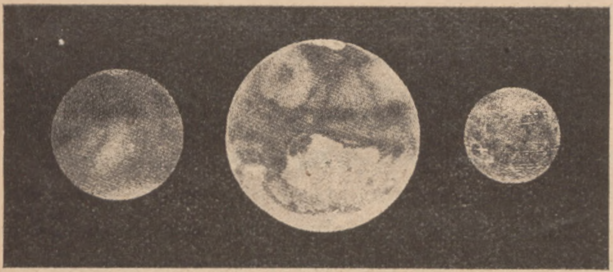
Przekonałam ją zupełnie.

Ale syn... Syn chce koniecznie być panem i od tego właśnie zaczyna.

ZAGADKA PLANETY MARSA.

Jeżeli w pogodny wiecór marcowy, niedługo po nastaniu zmroku, skierujemy nasz wzrok ku zachodniemu horyzontowi, to dostrzeżemy natychmiast trzy ciała niebieskie, które w odróżnieniu od słabo migocących gwiazd, płoną jasnym, spokojnym blaskiem. Są to planety: Wenus, Jowisz i Mars, które w wędrówce swej naokoło Słońca skupiły się obecnie przypadkowo w jednej okolicy nieba, wzdłuż linji, prowadzącej od zachodniego horyzontu ku zenitowi. Stanowią one prawdziwą ozdobę firmamentu.

Mars, o charakterystycznem krwawem zabarwieniu, widoczny obecnie wieczorem blisko zenitu, przedstawia się z nich najskromniej. Mimo to budzi on zawsze największe zainteresowanie, jako świat nam



najbliższy i wykazujący największe podobieństwo do naszej Ziemi. Posłuchajmy co o nim wie nowoczesna nauka.

Planeta Mars to prawdziwy glob miniaturowy, bo dziesięć razy pod względem masy mniejszy od naszej Ziemi, a przewyższający rozmiarami jedynie Merkurego, najmniejszą z planet wielkich systemu słonecznego. Jak wszystkie planety, świeci on światłem odbitem zapożyczonem od słońca. Czerwony swój blask zawdzięcza własnościom swej atmosfery, która niejako „przecedza“ odbite od powierzchni planety światło słoneczne, przepuszczając ku nam przeważnie promienie czerwone.

Że Mars posiada istotnie atmosferę, mamy na to liczne dowody. Za jej istnieniem przemawia przedewszystkiem „zamazany“ wygląd wszelkich szczegółów na jego powierzchni dostrzeganych, zwłaszcza w pobliżu brzegów tarczy, ponadto także zjawisko zmierzchów na planecie, oraz przejściowe zamglenia konturów powierzchni na skutek kondensacji atmosferycznych. Atmosfera Marsa jest jednak bardzo rzadka i daje się jedynie porównać z bardzo rozrzedzonem powietrzem ponad najwyższemi szczytami ziemskiemi. Zawiera bowiem, jak pomierzono, zaledwie: 6% tej ilości pary wodnej, oraz 16% tej ilości tlenu, jakie wykazuje w swym składzie powietrze ponad obserwatorjum astronomicznem na „Górze Wilsona“ w Kalifornji na wysokości 1750 m. nad poziomem morza, gdzie pomiarów tych dokonano.

Badania teleskopowe powierzchni Marsa już oddawna stanowią jeden z najbardziej interesujących problemów astronomji. Już w niedużej lunecie dostrzegamy na jego tarczy jasne plamy, nazwane „lądami“, o barwie żółtawej do ceglasto-czerwonej, ponadto zaś ciemne szaro-niebieskie „morza“. „Lądy“ Marsa grupują się przeważnie na jego północnej półkuli, „morza“ zaś na południowej.

Wiele hałasu w świecie naukowym narobiły t. zw. „kanały“, odkryte w r. 1877. Są to, jak wiadomo, ledwo widoczne w lunetach subtelne i zmienne linje proste, o barwie szarej i bronzowej, przecinające we wszystkich kierunkach jasne „lądy“ Marsa, a krzyżujące się po kilka w t. zw. „jeziorach“. „Kanały“ te ulegają czasem tajemniczym rozdwojeniom na dwa równolegle do siebie biegnące. Niektórzy uczeni, uniesieni fantazją, widzieli w „kanałach“ i „jeziorach“ wspaniale rozbudowany system irygacyjny, wykonany w celu nawodnienia powierzchni planety przez istoty inteligentne, zamieszkujące Marsa.

Według dzisiejszego jednak stanu wiedzy „kanały“ Marsa należy uważać jedynie za złudzenie optyczne, któremu ulega oko ludzkie wówczas, gdy obserwuje na tle jaśniejszem drobne, ledwo dostrzegalne, ciemniejsze punkty. Oko, bowiem, w tych warunkach łączy podświadomie owe, u granic widzialności się znajdujące, drobne szczegóły powierzchni planety, w proste geometryczne linje, realnej rzeczywistości wcale nie odpowiadające. „Kanały“ bowiem na Marsie są widoczne tylko w średniej wielkości lunetach i to, rzecz charakterystyczna, przez każdego obserwatora inaczej, w dużych natomiast i silnych narzędziach znikają zupełnie. Podobnie niema ich wcale na specjalnie w tym celu wykonywanych licznych fotografiach Marsa. Tak więc, jak na dzisiaj, fantazje o kanałach Marsa należy uważać za skończone.

Istotne znaczenie jasnych i ciemnych plam, na tarczy Marsa dostrzeganych, rozmaicie bywa tłumaczone. Jedni uważają plamy jasne za kontynenty, zaś ciemne — za morza marsyjskie, inni widzą w nich odpowiednio jałowe pustynie i pokryte roślinnością oazy. Morza te jednak nigdy nie błyszczą odbitem światłem Słońca, a więc nie posiadają powierzchni

zwierciadlanej, charakteryzującej wszelkie ciecze; lądy zaś, w przeciwieństwie do ziemskich, nie wykazują żadnych prawie szczegółów. Dzieje się to jednak prawdopodobnie na skutek trwale przesłaniających lądy mgieł i oparów, wznoszących się w atmosferze Marsa. Są także tacy, którzy dostrzegają w naszym sąsiedzie klasyczny przykład panującej na jego powierzchni już trwale epoki lodowej.

Rewelacyjne dane o przyrodzie planety, przyniosły dokonane przez astronomów amerykańskich świeżo, podczas korzystnej pozycji Marsa w r. 1924, pomiary promieniowania cieplnego, a więc i temperatur poszczególnych części globu. I tak: południowa plama biegunowa, podczas tamtejszej wiosny w r. 1924 wykazała wzrost temperatury od —100° Celsjusza do —15° C., pewien zaś punkt powierzchni planety, mający o wschodzie słońca temperaturę—85° C., w południe, przy prostopadle padających promieniach słonecznych, „nagrzał się" do +15° C., by o zachodzie wystygnąć do 0° C. (Przypomnijmy, co jest rzeczą interesującą, że podobnie duże, choć roczne, różnice temperatur spotykamy również w niektórych zamieszkałych okolicach Ziemi, np. w Wierchojańsku na Syberji, gdzie średnia temperatura w styczniu wynosi tylko —52° C., gdy w lipcu wznosi się do +16° C., z maksymami dziennemi do +30°).

Z pomiarów powyższych widzimy, iż „klimat" Marsa jest bardzo ostry i, jakby się wyrazili meteorologowie, silnie kontynentalny.

Zaś co do ewentualnej zamieszkalności Marsa, która tak bardzo zawsze zaprząta umysły, to wiele już na ten temat dyskutowano i pisano, obracając się oczywiście jedynie w obrębie fantazji. Trzeba jednak wierzyć, że zagadnienie to, dotychczas jeszcze niewyjaśnione, predzej czy później zostanie przez uczonych rozstrzygnięte.

Dr. I. G.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Mister James Brown w Warszawie.

Dzwoniły tramwaje. Beczały dzikim głosem trąbki samochodowe. Turkotały wozy, wózki i warszawskie „dryndy" — a mister Brown biegał po pokoju hotelowym. Skończyła się jego cierpliwość.

— Trzy dni! — wołał — trzy dni upłynęło, a jeszcze nie odzyskałem walizki z papierami. Trzy dni, słyszy pan?

Pan Marcin Kukulski, najlepszy detektyw biura wywiadowczego „Podrobek i S-ka" zamyślił się głęboko, a w końcu odpowiedział smutnie.

— Nieraz to i po trzy lata czekają, a co tu mówić o trzech dniach...

Ale Anglik nie słuchał.

— Daję 100 funtów nagrody! Daję 200 funtów nagrody! Ale walizkę musicie znaleźć, musicie!

Więc w pana Marcina jakby nowy duch wstąpił, a tu właśnie zadzwonił telefon.

— Hallo!

— Czy mister Brown?

— Przy telefonie.

— Tu mówi Zdanowski, dyrektor koncernu naftowego! Jakże się cieszę, że słyszę pana głos! Więc już jest lepiej?

— Jakto lepiej?

— To pan nie leży? Pan nie jest poraniony?

— Co pan mówi? Dlaczego?

— No bo w gazetach było, że pana poranili i obrabowali. O widzi pan, mam tu przy sobie:

„Ścinająca krew w żyłach zbrodnia. Na kolejach panika! O mało nie zabili Anglika."

— Nic takiego nie było!

— Bo te gazety u nas, to tak zawsze... no ale się cieszę. Kiedy ujrzymy pana?

— Choćby zaraz.

— W jakim hotelu pan stoi?

— „Sarmacja"

— Doskonale! Więc może spotkamy się na obiedzie w restauracji tego hotelu o godzinie piątej?

— All right!

Mister Brown położył słuchawkę na widełkach.

— Co ja teraz zrobię! — jęknął.

— Słucham pana? — zapytał Kukulski.

— Moje papiery, moje papiery!

— Biegnę do biura ogłosić nagrodę...

— Jeżeli nie znajdziecie, sprawa zakończy się interwencją dyplomatyczną!

Pan Marcin skoczvł, jak oparzony.

Punktualnie o godzinie 5-ej mister Brown zasiadł przy stoliku restauracji „Sarmacja".

Maitre d'hotel podszedł do anglika i spytał dość poprawną angielszczyzną:

— Pan życzy sobie?

— Przedewszystkiem chciałbym ręce umyć.

— Proszę, tualeta jest na prawo od bufetu. Szanowny pan będzie co jadł?

— Zamawiam dwa obiady.

Poszedł umyć ręce.

— Czy to tutaj? — spytał ze zdziwieniem, widząc jakąś marną klitkę z poobijaną umywalką i brudnym ręcznikiem zwisającym z gwoździa.

Majestatyczny woźny nie zrozumiał. Poprawił tylko błękitny kolet upstrzony złoconemi paskami i spojrzał zgóry na cudzoziemca.

Mister Brown zrobił gest mycia.

Woźny wskazał uprzejmie nieszczęsną umywalkę i ręcznik.

Anglik westchnął.

— Proszę o mydło! — rzekł.

Ale zanim znalazło się mydło i czysty ręcznik, była już 5-ta minut 15...

Wracając do stolika mister Brown spojrzał na kosztowne lustra sali, na wspaniale zdobione ściany, na bogato i elegancko ubraną publiczność i zapytał:

— Czy u was nie myje się rąk przed jedzeniem?

— Nasi goście mają *zawsze* czyste ręce — odparł z urażoną godnością maitre d'hotel.

Anglik usiadł. Była godzina 5-ta minut 25. Dyrektora Zdanowskiego jeszcze nie było.

— Musiało się coś stać — myślał z niepokojem mister Brown — może zatelefonować po policję?

Lecz przypomniał sobie spisywanie protokółu — i odechciało mu się.

— Poczekam jeszcze — pomyślał.

Minęło jeszcze pięć minut, piętnaście. Mister Brown wyjął zegarek.

— Za 20 szósta. Czekać dłużej nie można...

Wstał. Lecz właśnie od strony szatni nadchodził zwolna pan dyrektor Zdanowski.

Na widok mister Brown'a zawołał:

— Jakże się cieszę drogi panie, kopę lat, kopę lat!

— Co się stało?... Wypadek jaki?

— ?!

— Od trzech kwadransy czekam, byłem niespokojny...

— Przecież dopiero szósta za 15 — uśmiechnął się dyrektor — nie przypuszczałem, że pan tak się śpieszy.

— Wszak umówiliśmy się na piątą! — zdziwił się mister Brown. Dyrektor Zdanowski machnął ręką lekceważąco.

— Tak się to u nas mówi, a w rzeczywistości jak zebranie naznaczone na piątą ludzie zaczynają się zbierać o wpół do siódmej. Tu już tak zawsze!

— Zresztą pan zmęczony...

— Ależ umówiłem się na piątą! — upierał się anglik.

W końcu jednak wzruszył ramionami i nie na żarty przypiął się do zakąsek i „czystej z białą główką".

— Ma apetyt ma! — aż go dyrektor Zdanowski podziwiał i westchnął:

— A nas, Polaków, mają za żarłoków.

Anglik obrabiał pieczyste, zakrapiał wódką i rozwadniał wodą sodową.

Do stolika podszedł maitre d'hotel.

— Mister Brown — rzekł — proszę pana do telefonu.

— Hallo! hallo? — wołał po chwili do tubki telefonicznej pan James.

— Czy to mister Brown?

— Yes.

— Tu Kukulski.

— Yes.

— Wpadłem na ślad pańskiej walizki.

— Yes.

— Proszę zaraz przyjechać do komisarjatu.

— Yes.

— I proszę przywieźć obiecaną nagrodę.

— Yes.

— Czekam na pana.

— Yes.

— Bardzo pana przepraszam — tłumaczył się mister Brown przed dyrektorem Zdanowskim — lecz w pilnych sprawach muszę narazie pana opuścić.

Ukłonił się i wyszedł.

Zdanowski został sam i wychylił ósmy z rzędu kieliszek.

KINOKRONIKA.

Herbier zaangażował do tego filmu, transponowanego z powieści Zoli, niemkę, Brygidę Helm. Dał tem dowód, jak świetnym jest reżyserem, jak bezwzględnie wpatrzonym tylko w „interes“ samego filmu. Nie oglądał się ani na subtelności narodowościowe, ani na ambicje artystów francuskich: uznał że wymarzonym typem dla filmu danego jest Brygida Helm i zaprosił Brygidę Helm. Istotnie fenomenalna obsada! Brygida uosabia *Pieniądz*. Tak samo jak on metaliczna, tak samo z rąk do rąk przechodząca, zimna, lśniąca, z giętkością kruszcu przesuwająca się na oczach tłumu, rozwydrzonego giełdową wrzawą, zła, fatalna: ośrodek życia bez krzty poezji, bez krzty sentymentu. Cudna artystka! Wspaniałe, królewskie jej toalety są tak dostosowane do roli, tak są twarde, błyszczące, szychu pełne i metalu, płynnego metalu, rozlewające się wachlarzami trenów po niewidzianym splendorze posadzek — że zdumiewamy się, skąd ta niemka posiadła ową tajemnicę stroju, niemcom tak nieznaną. Rola jej nieduża, genjalne wniknięcie jednak tej artystki w treść arcydzieła, stworzyło z niej ów świetny pion, ów kościec, na którym trzymają się wszystkie strzępy walk, furji, pożądliwości, tragedji i opętańczej radości zwycięstwa. Zwycięstwa oczywiście giełdowych menerów.

Pieniądz! Pieniądz! Pieniądz! nic po za nim, nic nad nim! Przekleństwo okrutne, spuścizna szatana! Ogień prometejski, przekształcony w złowrogie połyski kruszcu: Brygida Helm skoncentrowała w sobie ten blask, to przekleństwo, tę fatalność....

Artyści, mający znacznie większą od niej rolę, zesunięci zostali w cień jej twórczym impetem. Mała Marja Glory, ładna, milutka i utalentowana nowa gwiazda ekranu francuskiego, przeciwstawiała się jak mogła Brygidzie Helm, przeciwstawiała jak mogła zimnej gładziźnie tamtej, swoje serce bijące wzruszeniem, swoje oczy zalane łzami — Piotr Alcower ciskał całą swoją brutalność giełdziarską widzowi w twarz — Alfred Abel z chłodnym spokojem przyjmował wszystkie wieści złe i dobre — złościła wielbłądzia twarz Henri Victora — zachwyt nie ustawał nad kunsztem reżyserskim, wybijającym się od czasu, rakietami pomysłów niezwykłych. Sala recepcyjna, balet u Mikołaja Saccarda, niewidzianie bogaty — światła, którychby mógł pozazdrościć Paweł Leni (w tej scenie zwłaszcza, kiedy przy oknie stoi mała Lina Hamelin, a grają na niej,



na jej twarzy, na jej toalecie, dalekie reflektory i blaski świetlnych reklam z ulicy).

Balet skonstruowany tak, jak żaden jeszcze balet w Ameryce, w Niemczech, a nawet we Francji (Dupont: Moulin Rouge) nie został skonstruowany. Fragmenty nagich ciał — węże rozrzuconych rąk i nóg nad przepaścią marmuru, który wszystko odbija, tak że się nic nigdy nie kończy i leci w głąb wirem rozszalałym. Lśnienia, błyski, fosforyczne pioruny, przebiegają wzdłuż i wszerz przepyszne półkole, amfiteatralnie zbudowane nad ową przepaścią z marmuru.

Pierwszy zdaje się film (po architektonicznych problemach Metropolisu) o tak oryginalnych i cudownych wnętrzach. *M. J. Wielopolska.*

ŻYCIE W PROMIENIU TYGODNIA.

Słonko w dzień przygrzewa coraz mocniej, gałązki wierzb pokrywają się „baziami“, a woda w rzekach występuje na lód.

Lada dzień lody ruszą na rzekach. Na morzu zaś silne wiatry zachodnie rozproszyły zwarte dotychczas pola lodowe.

Skorzystały z tego liczne statki, uwięzione wśród lodów i przy pomocy łamaczy lodowych oraz statków wojennych umknęły do portów.

Między innemi parowcami i nasz „Tczew“ (statek handlowy tow. „Żegluga Polska“ 1050 tonn reg.) był uwięziony wśród lodów przez zgórą 3 tygodnie.

Położenie było dość tragiczne, gdyż „Tczew“ w chwili zaskoczenia go przez lody nie miał dostatecznej ilości zapasów żywnościowych. Lody spiętrzyły się naokół w taką zwartą masę, że o dalszem posuwaniu się statku mowy nie było.

Trójca bohaterskich marynarzy z załogi „Tczewa“ z porucznikiem Starbałłtą na czele postanawia, jednak udać się pie-chotą na brzeg, uzyskuje zgodę kapitana i wyrusza, przeskakując z kry na krę, drapiąc się na góry lodowe i pełznąc przez miejsca niepewne, aż po paru godzinach dostają się na ląd.

Powrót z prowiantami był jeszcze trudniejszy, lecz dobra gwiazda nie opuściła marynarzy i wędrówka taka powtarza się na dzień następny również z pomyślnym skutkiem.

Dopiero za trzecim razem wyprawa zmuszona jest powrócić z połowy drogi.

Lecz najgorsze już minęło. Statek ma jakie takie zapasy, a władze najbliższych portów niemieckich wysyłają aeroplany na ratunek zagrożonym okrętom.

Dzień w dzień nad „Tczewem“ pojawia się samolot, zrzucając na pokład żywność, pocztę i gazety.

Tymczasem, jednak, lody napierają na burty statku — wiązania trzeszczą.

Kapitan z trwogą w sercu oczekuje końca tych strasznych zapasów. A jak „Tczew" nie wytrzyma?

Lecz milczy i uśmiecha się do marynarzy.

Załoga nie traci humoru i bawi się, niby gromada dorosłych dzieci.

Na białej powierzchni sąsiedniego pola lodowego piszą chłopcy węglem wielkiemi czarnemi literami jak na papierze:

„Dziękujemy, wszystko w porządku, brakuje tylko tańców i tancerek..."

A statek trzeszczy.... Mija dzień za dniem. „Tczew" się trzyma.

Któregoś słonecznego, mroźnego dnia, na sąsiednim, odpowiednio rozległym polu lodowem ląduje samolot na płozach.

Wielka radość. Paczki, gazety. Aeroplan odlatuje i znowu długie godziny oczekiwania.

Nagle w oddali dym wśród bieli lodów. Olbrzymi stalowy kadłub pancernika „Elsos" przebija się przez lodową skorupę.

Jeden po drugim suną za nim nieszczęsne, uwięzione dotychczas statki handlowe. Płyną swobodnie po wąskiej drodze utorowanej przez „Elsos".

Do tej karawany dołącza się „Tczew". Uratowani! Wśród marynarzy radość ogromna. Płyną do najbliższego portu Fridrichson. I, gdy znaleźli się już poza bezpiecznem molo, zrywa się silny wiatr zachodni.

Kra atakuje krę z hukiem i grzmotem.

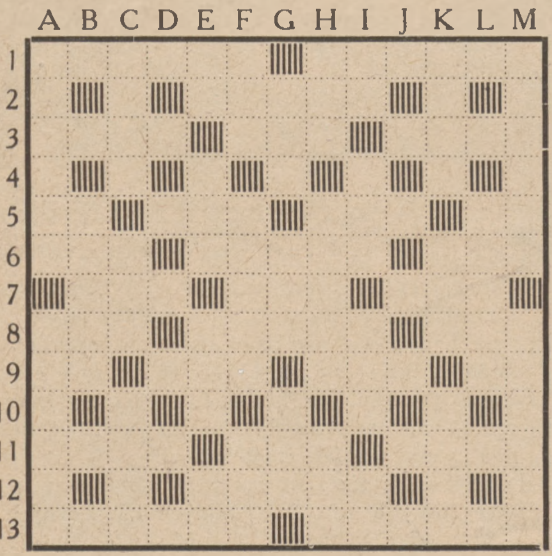
— Byłoby nas zgniotło — mówi cicho kapitan do otaczających go oficerów.

A chłopcy zwijają cumy na pachołki i śpiewają na całe gardło. Bo są już w porcie, bo lody pękają, bo pilot portowy oznajmił, że skowronki już przyleciały, chociaż po nocach szczypie mróz.

Wiosna! *Bep.*

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Nr. 1. KRZYŻÓWKA. Uł. p. A. Czyżewski.



Znaczenie wyrazów.

Poziome: 1A. Kara śmierci przez uduszenie. 1H. Część aparatu radjowego. 2E. Umowa. 3A. Utwór Zoli. 3F. Miasto w Finlandji. 3J. Sus inaczej. 5A. Skrót „według". 5D. Roślina. 5H. Worek. 5L. Inicjały poety polskiego. 6A. „Witaj" po łacinie. 6E. Ptak. 6K. Wąż. 7B. Imię wschodnie. 7F. Napój alkoholowy. 7J. Trucizna. 8A. Lód. 8E. Rupieciarnia. 8K. Herb polski. 9A. Rzeka na Łotwie. 9D. Roślina. 9H. Imię gwiazdy filmowej. 9L. Spółgłoska fon. 11A. Bożek miłości. 11F. Miara ziemi. 11J. Dama. 12E. Imię męskie. 13A. Miasto w Europie. 13H. Lotnik polski.

Pionowe: A1. Miasto w Europie. A8. Pojazd. B5. Rodzaj mowy. C1. Skaleczenie. C6. Imię żeńskie zdrobn. C10. Chiński dzwon. E1. Przysłówek. E4. Rodzaj smoły. E8. Jezioro w obc. jęz. E12. Miara ziemi. F1. Tytuł turecki. F5. Kurczak. F11. Papuga. G2. Obydwaj inaczej. G6. Ryba. G10. Część sztuki. H1. Utwór poetycki (wspak). H5. Huragan. H11. Kogut (wspak). I1. Przyimek. I4. Wół tybetański. I8. „Pan" po arabsku. I12. Miasto w Chaldei (wspak). K1. Rodzaj futra. K6. Głos. K10. Skała podwodna. L5. Marka aparatu fotograficzn. M1. Boczny pokój. M8. Warzelnia soli, tężnia.

Nr. 2. PODEJRZANE WIZYTÓWKI.

uł. p. George Abbe.

KONRAD STAN. BATIZ	NOE KOSZWIECKI

Z podanych biletów odczytać „zawód" ich właścicieli.

Za trafne rozwiązanie obydwóch zadań nadesłane w terminie dwutygodniowym w kopertach z dopiskiem „Rozrywki umysłowe" przeznacza Redakcja w drodze losowania książki.

Rozwiązanie zadań z Nr. 5:

Nr. 1. LOGOGRYF.

Śmiecie, **W**ata, **I**rys, **A**mor, **T**oga, **D**uma, **O**rnat, **M**ata, **I**kar, **S**tora, **Z**iele, **K**ora, **O**mar, **Ł**awa, **A**rkan — **„ŚWIAT DOM I SZKOŁA".**

Nr. 2. BILETY WIZYTOWE:

MODELKA	LEKARKA

Trafne rozwiązanie zadań w oznaczonym terminie nadesłali:

pp. Blumberzanka R. w/m, Bondorowski Jerzy w/m. Czyżewski Aleksander w/m, Garczyński St. w/m, Goldberg A. w/m, Gołębiowski Czesław w/m, Herszenfusówna P. w/m, Jarmulski Saturnin Modlin, Krawczyński F. w/m, Lubecka M. w/m, Łukowska Róża w/m, Majewski Michał w/m, Piaskowska Janina w/m, Rosen Marceli w/m, Rudnicki Marjan w/m, Siemieńska Halina w/m, Tołczyński R. w/m, Urbaniak Jerzy w/m, Zommerfeld Janina w/m.

Nagrody wylosowali pp. 1. Siemieńska Halina w/m. 2. Jarmulski Saturnin Modlin (prosimy o podanie dokładnego adresu!) 3. Gołębiowski Czesław w/m.

Nagrody rozsyłamy pocztą.

Adres Redakcji i Administracji, Warszawa, Hipoteczna 5. Tel. redakcji i administracji 517-35.

Redakcja otwarta w poniedziałki, środy, piątki od godz. 1 m. 30 do godz. 3-ej popoł.

WARUNKI PRENUMERATY: Miesięcznie Zł. —.95. Kwartalnie Zł. 2.85. Półrocznie Zł. 5.70. Rocznie Zł. 11.40.

Warszawskie Zakłady Graficzne, Wilcza 60. Tel. 293-47